



Juliusz Cezar

Kości niech będą rzucone!

Powiedzenie *alea iacta est* (kości zostały rzucone) mieści się w zbiorze słynnych *bon motów* przypisywanych sławnym jednostkom. Frazę tę rzymski historyk *Swetoniusz* (ok. 69–130) włożył w usta *Juliusza Cezara* (100–44 p.n.e.) przekraczającego wraz ze swoją armią Rubikon w styczniu 49 r. p.n.e. Według greckiego dziejopisa *Plutarcha* (45–127) niepokonany generał, stawiając wszystko na jedną kartę, miał wówczas wykrzyknąć: *Anerriphtho kybos!* czyli: „Niech kości będą rzucone!”. Jedno jest pewne: wprowadzenie – wbrew rzymskiej „konstytucji” – unurzanych w galijskiej krwi legionów na ziemię włoską zapoczątkowało okres długotrwałej wojny domowej, a deklaracja *Cezara* zrobiła na przestrzeni wieków większą karierę niż on sam.

Dlaczego kości?

Łaciński rzeczownik *alea*, literalnie oznaczający kostkę do gry, w sensie szerszym odnosił się do hazardu (przy okazji to ciekawe, że termin „hazard” nie ma łacińskiego korzenia, ale arabski; *al-zahr* po arabsku oznacza również kostkę do gry). Ukochane przez wielu Rzymian gry losowe miały i mają to do siebie, że o wygranej nie decydują wiedza czy umiejętności graczy, ale ślepy los. *Cezar* wiedział, że naruszając odwieczny zwyczaj i wprowadzając swą armię na ital-

ską ziemię, rzuca wyzwanie losowi. Stawką w grze, którą rozpoczął, było zdobycie pełni władzy w państwie.

Hazardzistami (*aleatores*) porządni Rzymianie określali ludzi popolitych, nieskomplikowanych, często uzależnionych od gier, a przez to zupełnie nieodpowiedzialnych. Miłośnicy kości czy rulety byli w ich oczach podejrzani, a ci z hazardzistów, którzy przez swe hobby stali się niewypłacalni i zbankrutowali, okrywali się niesławą (*infamia*). Unikano ich w dobrym towarzystwie, odmawiano biernego prawa wyborczego, nie powoływano na świadków, a także nie proszono o porękę.

Prawo walczyło z hazardem ze słabym skutkiem. W okresie republiki uchwalono ustawy antyhazardowe, a edykt pretorski odmawiał organizatorom oraz uczestnikom gier ochrony w wypadku szkód powstałych w związku z nimi. Regulacje te utrzymał cesarz *Justynian* (482–565), który do suchych norm dorzucił stek napomnień i pogroźek. Można powiedzieć, że już w starożytności rzymskiej długi hazardowe miały charakter, jak to się będzie później mówić na naszych ziemiach, „honorowy”. Gdzie indziej było podobnie. *Robert Josef Pothier* (1699–1772) pisał, że wiąże one dłużnika jedynie „przed sądem sumienia i honoru”. Dzisiejszy ustawodawca lokuje je w grupie tzw. zobowiązań niezupełnych.

Prawodawcy wydawali przepisy, a życie, jak to się zwykle dzieje, toczyło się swoim rytmem. W antycznym Rzymie (podobnie jak dziś) nikt rozsądny, kto stracił podczas gier (często nielegalnych) majątek, nie szedł z tym do sądu, gdyż wiedział, że z dużych kłopotów może popaść w jeszcze większe. Organów wymiaru sprawiedliwości unikali zwłaszcza zawodowi szulerzy, którym zdarzało się spotkać lepszych od siebie.

Oświadczenie *Cezara*, wygłoszone podczas przeprowadzania legionów przez Rubikon, mieści więc w sobie o wiele mniej szlachetnego animuszu, niż mogłoby się na początku wydawać. Owszem, wielu przedstawicieli arystokracji, a w czasach imperium również grono cesarzy, lubiło sobie pograć, ale nikt o tym głośno nie mówił. Choć szokujące dla jednych, a żenujące dla innych mogło się wydać skojarzenie przez galijskiego tryumfatora walki o przyszłość państwa

z grą hazardową, nie wydaje się, by *Cezar* cokolwiek sobie z tego robił. Jego słowa mogły wprawdzie wywołać zgorszenie wśród nieprzychylny mu części konserwatywnie nastawionej rzymskiej arystokracji, ale z pewnością wśród czeredy zaprawionych w bojach zabijaków, którą prowadził za sobą na Rzym, wzbudziły entuzjazm. Po raz kolejny ich generał pokazał, że się nie wywyższa. Ujawniona skłonność do plebejskich rozrywek, nieważne, czy autentyczna, dodała żołnierzom ducha i zacieśniła wzajemne więzy. Zapewne właśnie o to chodziło.

Kariera powiedzonka w literackich migawkach

Polska wersja powiedzenia *Cezara* na stałe zagościła w słowniku rodzimych frazeologizmów i stanowi ekwiwalent mniej dostojnych powiedzonek w rodzaju „klamka zapadła” czy „mleko się wylało”. Zebranie reprezentatywnego zbioru kontekstów, w jakim się pojawia, jest niemożliwością. Zasadniejsze będzie skupienie się na sytuacjach, w których wykorzystano wersję łacińską. Ograniczymy się przy tym do literatury pięknej. *Waldemar Babinicz* (1902–1969) w powieści „Prawo wyboru” wkłada w usta jednego z młodzieńców następujące słowa: „Zwycięża nie ten, kto jest starszy, mądrzejszy, ale ten, kto jest silniejszy. Naszemu łacinnikowi z jego cholernym przysłowiem *alea iacta est* tak mogą wrzepić, że się nie opamięta. I kto? Pierwszy lepszy fagas, który nic nie słyszał o *Cezarze*”. Cóż, trudno się nie zgodzić. Tak było, jest i będzie.

W przytłaczającej większości utworów znajomość powiedzenia rzymskiego wodza stanowi erudycyjny ornament i ma świadczyć o towarzyskim wyrobieniu tego, kto je cytuje. W „Biesach” *Fiodora Dostojewskiego* (1821–1881) próbuje się w ten sposób popisywać *Stiepan Trofimowicz*. Czyni to w sposób oryginalny, gdyż cytatem *alea iacta est* otwiera wywód, a następnie... się żegna. Jego wysiłki nie zostają jednak docenione. „Nie rozumiem po łacinie” – wchodzi mu w zdanie jego rozmówczyni, *Warwara Pietrowna*. Bohater „Sklepow cynamonowych” *Brunona Schulza* (1892–1942) dodaje sobie wyra-

zeniem rzymskiego wodza odwagi przed wejściem do gabinetu dyrektora szkoły.

Powiedzonko *Cezara* ulubili sobie również poeci. *Leopold Staff* (1878–1957) jako *Alea iacta est* zatytułował jeden ze swoich egzystencjalistycznych utworów:

Kości rzucone,
Skóra i kości,
Przekraczam siebie.

Poza mną przeszłość:
Dzwonnica bez głosu.
Przedemną ogród:
Woń jest konaniem kwiatów.

W cezariańskim powiedzonku pasjami kochali się naturalnie mniej wyrobieni pod kątem stylistycznym karciarze. *Józef Roth* (1894–1939) w „Rodzinie Bernheimów” odmalowuje ciekawą scenę. Otóż w momencie, kiedy eleganckie towarzystwo gra w karty w klubie, niejaki pan *Lang* „rzucił karty na stół i po wielu latach znowu zawołał: *Alea iacta est!* Tym samym stwierdzone zostało, że wszyscy ci panowie o anglosaskiej orientacji są skończonymi humanistami”.

Obok frazy, która miała moc fanfar, trudno było obojętnie przejść dziennikarzom. Przychylna *Józefowi Piłsudskiemu* (1867–1935) międzywojenna prasa spopularyzowała legendę, zgodnie z którą Naczelnik Państwa, żegnając generała *Maxime’a Weyganda* (1865–1965) przed udaniem się na front kilka godzin przed rozpoczęciem Bitwy Warszawskiej w 1920 r., miał powiedzieć (jakżeby inaczej?): *Alea iacta est!* Podobnie *Stefan Krzywoszewski* (1866–1950), relacjonując słynne przemówienie ministra *Józefa Becka* (1894–1944) z 1939 r., w którym minister twardo sprzeciwił się niemieckim roszczeniom, zatytułował raport: „*Alea iacta est. Minister Beck na mównicy sejmowej*”. Zarówno *Piłsudski*, jak i *Beck* wzięli tym samym przykład z *Cezara* i zaryzykowali. Komu Fortuna udzieliła błogosławieństwa, wiadomo.

Proces aleatoryjny?

Spróbujmy odnieść zawołanie *Cezara* do niemilknącej dyskusji na temat obecnego kształtu procesu karnego. Dostojne grono „-stów” (specjalistów, publicystów, populistów itd.) wciąż bowiem zastanawia się nad sposobem i zakresem stosowania na jego gruncie zasady kontradycyjności. Nowelizacja z lipca 2015 r.¹ doprowadziła do marginalizacji roli sędziego w procesie, przerzucając cały ciężar jego prowadzenia na strony. „Pełna kontradycyjność!” – zachwalano wówczas.

Krok ten, mający w założeniu ułatwić i przyspieszyć postępowanie, spotkał się ze zmasowaną krytyką. Sceptycy (poniekąd słusznie) ujrzeli w nim m.in. istotną przeszkodę w procesowym ustalaniu prawdy materialnej. W ustawodawczych planach rządu pojawił się więc szybko plan powrotu do modelu dawniejszego, pozwalającego sędziemu na większą aktywność w ramach toczonych postępowania. Kolejna nowelizacja² weszła w życie w kwietniu 2016 r. Przywrócono w niej stan poprzedni, po czym... odrąbiono kolejny sukces.

Ponieważ ustawodawczy klimat w naszym kraju sprzyja promowaniu nowych ujęć i wprowadzaniu częstych zmian, warto się zastanowić, czy we wciąż toczonych dotąd dyskusjach nie popełniono „grzechu ekskluzywizmu”. Otóż kolejni autorzy i propagatorzy reform, tak nauczeni jeszcze w uniwersyteckiej auli, postrzegają proces karny jedynie w kategoriach binarnych. Może on zatem mieć w ich oczach charakter jedynie inkwizycyjny bądź kontradycyjny. Wziąwszy pod uwagę specyfikę warunków, w których przychodzi pracować polskim sędziom, należy zwrócić uwagę na jeszcze jedną inkarnację procesu karnego. Nazwijmy ją procesem aleatoryjnym.

¹ Ustawa z 27.9.2013 r. o zmianie ustawy – Kodeks postępowania karnego oraz niektórych innych ustaw (Dz.U. poz. 1247).

² Por. ustawa z 11.3.2016 r. o zmianie ustawy – Kodeks postępowania karnego oraz niektórych innych ustaw (Dz.U. poz. 437).

To wcale nie takie głupie!

Profesor *Jacek Mazurkiewicz* zapamiętał przebieg rozmowy pomiędzy znawcą prawa rzymskiego *Jerzym Falenciakiem* (1910–1986) oraz jednym z założycieli i filarów lwowskiej szkoły matematycznej *Hugonem Steinhausem* (1887–1972). *Falenciak* z uśmiechem przypomniał koledze postać sędziego *Płetewki* przewijając się w utworze *Franciszka Rabelais’go* (1494–1553) pt. „Gargantua i Pantagruel”. Ten doświadczony sługa sprawiedliwości wydawał wyroki na podstawie wyników rzutu kośćmi. Wygrywała zawsze strona, na rzecz której wyrzucił większą liczbę oczek. *Steinhaus*, upewniwszy się, że *Płetewka* wyrokował w ten sposób przez większość swego życia, wykrzyknął: „Panie, jeśli tak długo, to zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa połowa jego wyroków musiała być sprawiedliwa!”. Po chwili obaj rozmówcy spojrzeli na siebie i niemal jednocześnie zapytali: „Znasz pan taki sąd, który ma połowę sprawiedliwych wyroków?!”.

Formuła procesu, roboczo nazwanego aleatoryjnym, jest genialna w swojej prostocie. Wizja jej wprowadzenia z pewnością zanęci praktyków w togach z fioletowymi żabotami. „Proces aleatoryjny” nie tylko maksymalnie uprości procedury i wygeneruje fantastyczne oszczędności, ale także odciąży sumienia składów orzekających. Rachunek prawdopodobieństwa sprawi zaś, że nie ucierpią statystyki. Skorzystają również asystenci i aplikanci, którym spadnie z barków ciężar pisania uzasadnień. Idealnie!

Podsumowanie

Przejdźmy do szczegółów: rozmiar, liczbę, wagę oraz ujednolicony wzór graficzny kości powinno określić ministerialne rozporządzenie. Jeżeli zechcemy postulowaną nowelizację mocniej osadzić w tradycji rzymskiej, koniecznie należy oswoić społeczeństwo polskie z faktem, że najlepszy rzut w kości Rzymianie określali mianem „Wenus”, najgorszy zaś znany był jako „pies”. Oskarżony, na chwilę przed rzutem, będzie miał więc okazję nawiązać do antycznej spuścizny kulturowej

i, zamknięszy oczy, szepnąć w skupieniu: „Niech dla mnie wypadnie Wenus, a dla prokuratora pies!”.

Wiele osób stwierdzi zapewne, że to niepoważne i że strony sądowych postępowań nigdy się na to nie zgodzą. Spokojnie, zgodzą się. Przez te wszystkie lata strony nauczyły się pokory i cierpliwości. Trudno je czymś zdziwić. A co do reformatorów, to skoro *Cezar* nie miał skrupułów, by zaryzykować i wywrócić do góry nogami dotychczasowy ustrój wraz z jego prawem, dlaczego oni mieliby się wahać? Powiedzonko na tę okoliczność już jest³.



³ Pierwotnie tekst ukazał się w tygodniku „Prawnik” (dodatek do „Gazety Prawnej”) z 9.2.2016 r., s. D8.



Rzymskie małżeństwo

Gdzie ty *Gajuszu*, tam ja *Gaja* – o rzymskim małżeństwie inaczej

Małżeństwo należy do tych instytucji prawnych i społecznych, o których można dyskutować bez końca i nie znajdzie się chyba nikt, kto nie czułby się w tej materii ekspertem. Istnieją przy tym pewne „stałe”, a zatem określone prawdy, które wydają się oczywiste i dyskusji nie podlegają. Należą do nich chociażby: dogmat równouprawnienia małżonków wobec siebie oraz obowiązek wzajemnego okazywania sobie miłości i szacunku, a także dochowywania wierności. Zapewne dlatego tak trudno człowiekowi postmodernistycznemu zrozumieć formę i funkcjonowanie małżeństwa rzymskiego.

Matrimonium

Rzymianie, jak wszystkie inne ludy starożytne, wstępowali w związki małżeńskie, choć nie do końca potrafili zdefiniować, czym one są. Wprawdzie jurysta *Modestyn* (III w.) poetycko pisał o „związku męczyzny i kobiety, zespoleniu na całe życie, wspólnocie prawa ludzkiego i boskiego”, a kilka wieków później cesarz *Justynian Wielki* (482–565) podkreślił „niepodzielność wspólnoty życia” małżeńskiego stadła, niemniej przeciętni obywatele woleli odwoływać się do spo-

łecznej intuicji niż do przepisów. W poszukiwaniach odpowiedzi na pytanie o istotę rzeczy nie brakowało im swady i dowcipu. Korzystając z greckich wzorów, „sławili” więc małżeńskie pożycie jako zło konieczne, a zarazem obywatelską powinność. Przekonywali się przy tym nazwzajem, że jest ono najlepszym sposobem na przedłużenie rodu i wzmocnienie rzymskiej populacji.

Współcześnie zwykło się postrzegać istotę małżeństwa przez pryzmat nauczania Kościoła z jednej strony i komedii romantycznych z drugiej. Dla Kościoła małżeństwo to sakrament – święty i nierozdzielny. Tymczasem w komediach romantycznych akcja budowana jest w oparciu o zawsze ten sam sprawdzony schemat. Początkowo rodzi się uczucie i przychodzą pierwsze miłosne uniesienia. Następnie pojawiają się przeszkody, które należy pokonać. Później bohaterowie odpowiadają sobie i widzom na szereg pytań o charakterze egzystencjonalnym, po czym następuje wielki finał – para staje na ślubnym kobiercu. Człowiekowi starożytnemu podobny scenariusz wydałby się absurdalny. Małżeństwo było dla niego zbyt poważną sprawą, by z jednej strony lokować je na jakimś mistycznym, oderwanym od realiów życia piedestale, a z drugiej – uzależniać jego zawarcie od tak „niskich odruchów” jak... miłość.

Elegie miłosne *Owidiusza* (43 p.n.e. – 17 n.e.), *Propercjusza* (ok. 50 p.n.e. – pomiędzy 15 a 2 p.n.e.) i *Tibullusa* (ok. 54 p.n.e. – 19 n.e.) do dziś zachwycają pięknem formy i niekiedy szokują dosłownością. Pomimo drobiazgowych poszukiwań nie znajdzie się w nich jednak zbyt wielu wzmianek w rodzaju „kocham i pragnę Cię poślubić”. „Kocham” lokowane w związku z „pragnę” to czasowniki, które dla Rzymian wykluczały czasownik „poślubić”. Na etapie planowania małżeństwa miłość nie była brana pod uwagę. Liczono raczej, niczym w XIX-wiecznych komediach *Aleksandra Fredry* (1793–1876), że uczucie pojawi się z czasem. Trudno o inne podejście, skoro nierzadko państwo młodzi poznawali się dopiero podczas zaślubin.

Zjawisko to znał i świetnie wyzywał w „*Quo vadis*” *Henryk Sienkiewicz* (1846–1916), kiedy włożył w usta zakochanego *Winicjusza* następujące słowa: „Więc skoro nie ma innej drogi, niechże oprzędzie drzwi mego domu, niech je namaści wilczym tłuszczem i niech się-

dzie jako żona przy moim ognisku”. Chociaż *Winicjusz* przemawia w tym fragmencie językiem ministranta z byłej Kongresówki, to już riposta *Petroniusza* jest typowo rzymska: „Uspokój się, szalony potomku konsulów. Nie po to sprowadzamy barbarzyńców na sznurach za naszymi wozami, byśmy mieli zaślubiać ich córki. Strzeż się ostateczności. Wyczerpnij proste, uczciwe sposoby i zostaw sobie i mnie czas do namysłu. Mnie także *Chryzotemis* wydawała się córką *Jowisza*, a jednak nie zaślubiłem jej – tak jak i *Nero* nie zaślubił *Akte*, choć ją czyniono córką króla *Attala*... Uspokój się...”

Libido

Pogląd *Pawła z Tarsu* (ok. 5 – ok. 67), wyrażony w pierwszym liście do Koryntian, zgodnie z którym „lepiej się ożenić niż płonąć”, mógł w I w. n.e. uchodzić za dziwaczny. Erotyczne napięcia młodych chłopców, wywodzących się z lepszych domów, rozładowywano inaczej – głównie w domach publicznych, które tolerował nawet zapiekły moralista *Katon Starszy* (234–149 p.n.e.).

Oczywiście korzystać z nich należało z umiarem. Przez wieki powtarzano historyjkę, jak to kiedyś *Katon* zauważył młodego nobila wychodzącego z przybytku rozkoszy i pochwalił go, że, załatwiając swoje potrzeby w lupanarze, zostawia w spokoju cudze żony. Na drugi dzień sytuacja się powtórzyła. Tym razem jednak reakcja rzymskiej wyroczni w sprawach moralnych była inna: „Młody człowieku – ofuknął go *Cenzor* – pochwaliłem cię za to, że tu od czasu do czasu przychodzisz, ale nie za to, że tu mieszkasz”.

W zamożniejszych domach do dyspozycji panów pozostawały niewolnice, których naturalną i oczywistą powinnością było zaspokajanie erotycznego popędu właścicieli. Dochodziło również do kontaktów pomiędzy niewolnikami i wolnymi kobietami, o czym świadczą chociażby wydanie z inicjatywy cesarza *Klaudiusza* (10 p.n.e. – 54 n.e.) w 52 r. specjalnej uchwały senatu. Stanowiła ona, że kobieta żyjąca w związku z cudzym niewolnikiem, jeżeli nie zaprzestała tego procederu, mimo upomnień ze strony właściciela, sama miała

stracić wolność. Odrobinę bezpieczniej było utrzymywać intymne relacje z własnymi niewolnikami. Wtedy jednak kobieta narażała się na odpowiedzialność przed rodzinnym trybunałem, a konsekwencje udowodnienia jej winy mogły być tragiczne.

Spółeczna ocena intymnego życia kobiet i mężczyzn była zróżnicowana. Tym ostatnim wolno było więcej i więcej im wybaczano. „Nie jest słuszne, by domagać się od kobiety wierności, której nie docho-wuje mężczyzna” – zauważał *Domicjusz Ulpian* (zm. 223 n.e.). Podobne opinie uchodziły jednak za filozoficzne ekstrawagancje. Niewiasta, która zamierzała wstąpić w związek małżeński, powinna być „czysta”. Czystość przedmałżeńską nie zawsze jednak utożsamiano z dziewictwem, skoro rozwody i powtórne małżeństwa były dla Rzymian codziennością. Chodziło raczej o seksualną integralność. Innymi słowy przyszła panna młoda musiała się cieszyć nieposzlakowaną reputacją.

Rzymscy mężczyźni mieli obsesję na punkcie tego, by dzieci, które rodziły ich żony, okazały się ich potomstwem w sensie biologicznym. Zachowanie to warunkowały przekonania o charakterze religijnym. Bękart burzył utrwalone od wieków *continuum* pokoleń i wprowadzał chaos w świecie domowego kultu. Tajemnica, którą dało się ukryć przed światem, przestawała nią być w oczach duchów przodków. Głęboko wierzono w katastrofalne skutki ich gniewu.

Aetas-conubium-consensus

Większość współczesnych opracowań, które spędzają sen z powiek studentom pierwszego roku prawa, sucho komunikuje: rzymskie małżeństwo było stanem faktycznym. I słusznie. W antycznym Rzymie procedura zawarcia małżeństwa nie była tak sformalizowana jak dziś. Jeżeli tylko para była w odpowiednim wieku, nie istniały okoliczności uniemożliwiające zaślubiny oraz zgodnie wyrażano chęć zeniaczki, wystarczyło, że mężczyzna wprowadził kobietę do domu, a ona *ipso facto* stawała się jego żoną. Spełnienie wszystkich trzech przesłanek prowadziło do powstania małżeństwa pełnoprawnego – *iustum matrimonium*.